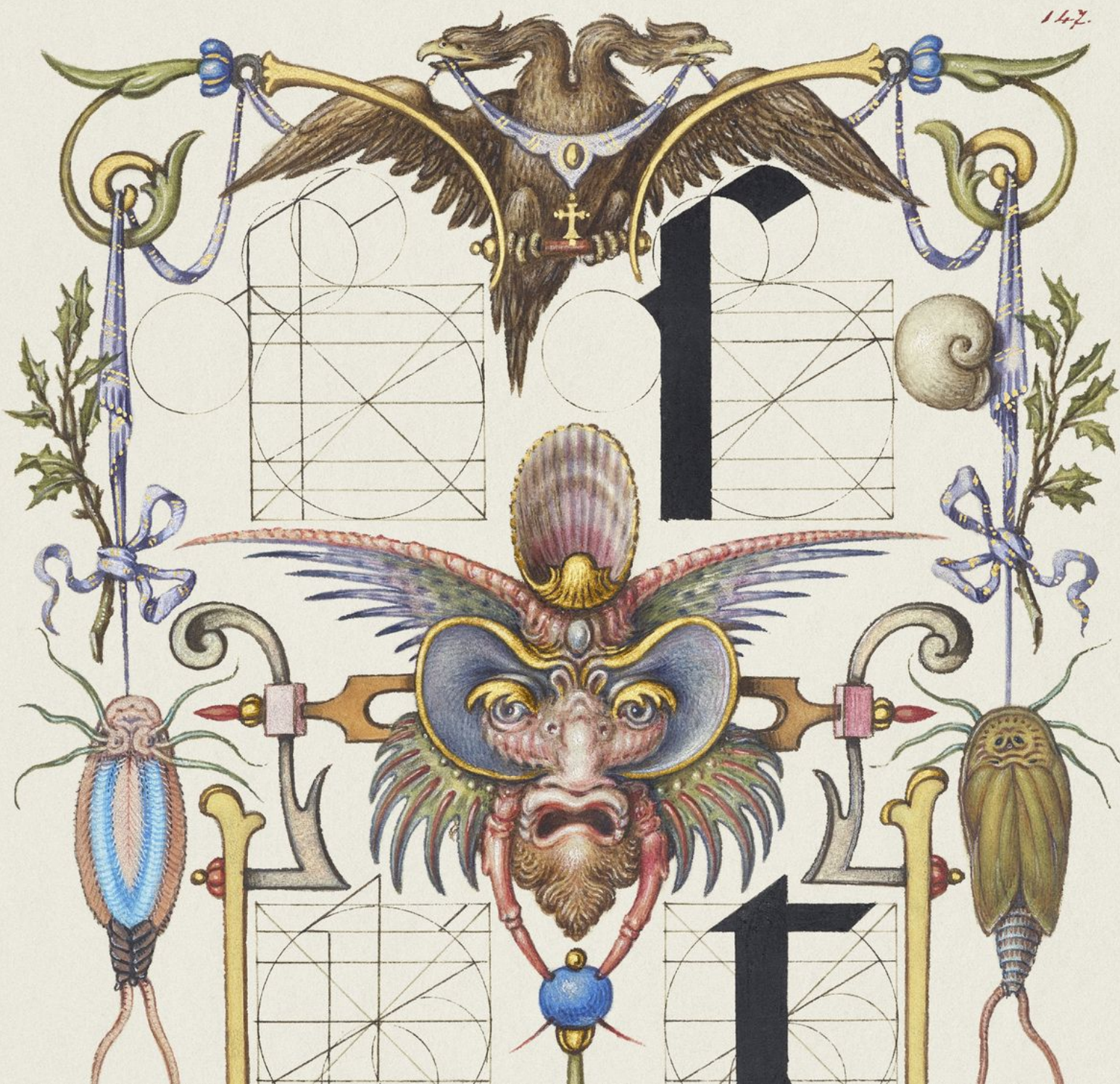


Ave Maria



ANTONINA DOMAŃSKA

Ave Maria

Ren, który od Moguncji rozlewa swe wody szeroko i płynie aż do Bingen, w kierunku południowo-zachodnim, tutaj robi nagły zakręt ku północy; a dostawszy się między strome, wysokie skaliska, szumi gniewnie w ścieśnionem korycie. Przed wiekami spienione wiecznie fale kryły w swej głębi urwiska granitowe, zabójcze dla wszelkiej żeglugi. Bingerloch, czyli wir Bingenński, dla flisaka i rybaka postrachem śmiertelnym.

Dziś rzeka uregulowana; przemocne złomy kamienne usunął mocniejszy od nich dynamit... Dziś parowce przeryniają bezpiecznie fale Renu, gdzie w zamierzchłych czasach galary, tratwy, a nawet łodzie ledwie się przesuwały wąskim pasem, tuż przy lewym brzegu.

W roku Pańskim...

Mocna wielka bryka, wyladowana skórami, suknem, narzędziami rolniczymi i innym drobniejszym towarem, a zabezpieczona od słoty rogózkami, wlokła się powoli traktem, wiodącym brzegiem Renu z Bingen do Heimbachu. Gościniec zwężał się i rozszerzał, w miarę, jak przybrzeżne olbrzymie skały pozostawiały mniej albo więcej równej przestrzeni nad rzeką. W niektórych miejscach niepodobna było dwom wozom wyminąć się; to też podróżny albo kupiec, ktokolwiek dojeżdżał do takich przesmyków, wysyłał przodem pachółka, by ostrzec jadących z przeciwnej strony i zatrzymać ich, póki sam nie wydostanie się na miejsce swobodniejsze.

Lipcowe słońce przypiekało.

Na przodzie bryki siedział właściciel towarów, zakupionych na jarmarku w Sprenlingen, sławetny Pieter z Heimbachu, wójt miasteczka i bogaty kupiec. Przy trzech koniach, zaprzężonych w pojedynkę dla wąskości drogi, szli jego słudzy, zachęcając to dobrem słowem, to batem zmęczone szkapy do pośpiechu. Zaś tuż przed końmi i tuż za wozem postępowało po sześciu najemnych zbrojnych pachółków. Oprócz kuszy i sajdaka ze strzałami każdy z nich miał jeszcze ostry toporek, zawieszony u pasa.

— Spory szmat drogi mamy już za plecami — odezwał się Hans, jeden ze służby. — Daj Bóg pogodę, przed zachodem słońca staniemy na miejscu.

— A gdybyśmy wyjechali z noclegu raniej — zauważył drugi.

— To co? Foitsbergu tak nie ominiemy — mruknął majster Pieter i westchnął ciężko.

— Nie trapie się, panie, po próżnicy — rzekł Lebrecht, najstarszy z parobczaków. — Toć ów kumoter wasz, coście go w Bingen spotkali, musiał wiedzieć, co gada, kiedy nas tak zapewniał, że rycerz Heribert wyjechał wczoraj do lasów rüdesheimskich na trzydniowe łowy.

— Bógby dał, żeby to prawda była... ja ludzkiemu gadaniu nie wierzę.

— Chyba nie siedzi ciągiem w norze jak puhacz w dziupli — ze śmiechem rzucił Jakób, a Hans dodał:

— Juści, piesby tego nie wytrzymał, a nie dopiero człowiek.

— Wy mi tu gadacie nicpotem, a ów przeklętnik ze swymi druhami już tam na nas może czyha u zakrętu — furknął pan Pieter i obejrzał się.

— Cobyście się wasza miłość lękali... odkąd ino mury Foitsbergu¹ zamajaczyły w dalekości, nie spuszczałem oka z baszt, a zwłaszcza z onej *Córuchny* zatraconej; spokojno tam, nijakiego ruchu, widno wyjechali naprawdę.

¹Foitsberg — Zamek Rheinstein w średnich wiekach zwał się Foitsbergiem. [przypis redakcyjny]

— Powiadajcież jasno, na wyrozumienie — wtrącił się do rozmowy jeden z łuczników — słowa słyszę, a nijak się wyznać nie zdolę, co chcecie rzec.

— Jakoż to ma być? — drwiąco zawołał Hans — czupryna szpakowata, a ludzkiego gadania nie rozumiecie?

— Phi... toli słyszę, chodzi wam o jakiegoś rycerza, o jakiś zamek, o córuchnę...

— Tedy, co wam jeszcze więcej potraza? — Nie złapiliście nitki?

— My ta od Helweckich gór, nie tutejsi; cóż się dziwujecie, że waszych stron nie znamy? Wynajęliśmy nas do obrony przed zbójcami, to i poszliśmy. A więcej nie wiemy nic.

— Otóż właśnie o zbójach mowa; raczej o jednym, najmocniejszym, najniegodziwszym. Rycerz to, pan całą gębą; włości ma, winnice, lasy, a jeszcze mu się cudzej krwawicy zachciewa. Bodaj go ziemia żywcem pochłoneła! Bodaj z piekła nie wyjrzał przez wieki wieków!

— O psi syn jeden!... Wolejby się spotkał w boru ze zgrają opryszków, niżli... A cóż ta córuchna? Dopomaga właścicielowi, czy jak?

— Juści, srodze mu dopomaga. Widzicie tę basztę smukłą, co na skalistym występku niemal prosto z rzeki wyrasta?

— Aha; rzekłbyś, że lada chwila przegibnie się i runie w wodę.

— Bodajby runęła! Ta ci jest właśnie *Córuchna* rycerza Heriberta z Foitsbergu. Sam ją tak przezwiał z wdzięczności serca. Bowiem z tej wieży najłacniej i najdalej wokół wyczierać może. Płyną — ii Renem szkuty sownie wyładowane, a z gorzkiego musu Bingerloch wymijający, popod same mury grodu się przesuwają, zagnała zalewa głowy przewoźników kipiąca smoła i parzy śmiertelnie. Zbiry wypadają jakoby istne potępieńce, flisów nieszczęsnych wrzucają we wodę, gdzie największa głębia, a statek biorą jak swój i wynoszą lupy na górę, do czartowskiego gniazda. Ino marny rybak śmieie krąży po rzece w swej ubogiej łodzi; a i ten jeszcze rybami się musi opłacać drapieźnikom.

— Gdy noc ciemna, deszcz leje, a wicher huczy, to się niekiedy przemknie jakowy galar wedle murów Foitsbergu — dorzucił, mimowoli głos zniżając, Lebrecht — zwłaszcza, gdy tamci na górze opijają się niczem bydłeta i chrapią, miasto pilnować swego bezecnego rzemiosła.

— Z dwojga złego wolą już ludziska gościńcem; przecie łacniej obronić dobytku i siebie; a przynajmniej drogo człek życie sprzeda, miasto zdychać jak baran.

— Jakoż to być może? — pytali łucznicy. — A sprawiedliwość?

— A sądy cesarskie?

— A topór katowski?

— Djabeł z Foitsbergu drwi ze sądów. Juźci go skazano zaocznie na gardło, mało dziesięć razy; a on gada: „To mię bierzcie!” Któż się ważyć będzie podstąpić pod gródek tak srodze obronny?

— Głodem go wziąć.

— I tego próbowano, ale napróżno. Maja ci podziemne korytarze na wsze strony świata i ze wszech stron żywność prowadzą. Ponoś zapasów na lata starczy.

— Złapać w szczerem polu, albo w lesie.

— Byli i tacy. Obławę nań czynili, jako nie przymierzając na odyńca. Zawždy umknął niesamowitym sposobem, jakby w ziemię zapadł. Czułości jakoweś ma, jemu samemu wiadome. Onego zasię, który nań zasadzki czynił, albo z żołnierstwem go poszukiwał, najdowano do trzech dni obwieszonym na wierzbie u rozstaju, albo we własnym domu z rozplataną napoły głową.

— Tedy sędziowie Bogu pomstę ostawili, a rycerz Heri...

Wrzask nieludzki zagłuszył ostatnie słowa... Ze stromych schodów, wykutych w skałę, a skrytych za wystającą basztą *Córuchną*, zbiegło dwudziestu pacholów rycerza z Foitsbergu, z dobytymi krótkimi mieczami w rękach. Ustawili się w porządku, po czterech i czekali rozkazów.

Kilka kroków zaledwie dzieliło ich od łuczników majstra Pietra. O naciąganiu kuszy już być nie mogło, więc i najemni Szwajcarowie i parobcy porwali za topory.

Ostatni zeszedł ze schodów człek młody, średniego wzrostu, silnie zbudowany. Na płowych, krętych włosach miał kołpak sukienny z odwinętymi szeroko kresami. Odzia-

ny był w kaftan z łosiowej skóry, nogawice skórzane i także grube ciżmy, sznurowane rzemykiem. Zwrócił się do podróżnych, podniósł miecz w górę i krzyknął:

— Stać! Ani kroku! Topory o ziem!... Nie pilno mi kłaść rąk waszą podłą posoką, daruję was zdrowiem. Idźcie do tysięcy djabłów, albo gdzie wam dogodno.

Hans uchylił czapki i podciął konie.

— Oho, ho... nie udawaj błazna, boś i tak nad potrzebę głupi! — zawołał rycerz Heribert, śmiejąc się rubasznie. — Konie i wóz ostawić, a sami precz... na złamanie karku!

Przywódca łuczników dał umówiony znak swoim ludziom, rzucili się piorunem na zbójcekie szeregi; dwunastu silnych, odważnych chłopów zwarło się ze zbirami z Foitsbergu...

Z jednej i z drugiej strony padło odrazu dwóch czy trzech ciężko ranionych... walczący podniecali się hukaniem i wrzaskiem, powietrze brzmiało jękami konających, a skaliste ściany przeciwległego brzegu powtarzały te straszne głosy kilkakrotnem echem. Pod ciosami toporów i mieczów bluzgała krew na szary proch gościńca.

Stary Pieter zarzucił na twarz kaptur od oponczy i siedział na bryce skurczony, nieprzytomny ze strachu.

Walka trwała niedługo. Ktoś krzyknął gromko:

— Uprzątnąć drogę... trupy do wody! Hej, dziadu, zbieraj manatki; szczęście twoje, iż się nie przeciwiał mej woli; tamci nie chcieli słuchać, zapłacili drogo... No, złaż z woza i kwap się co żywo, abyś za dnia w domu stanął. A to się trzęsie, stare próchno... Cha, cha, cha! Nie zaslaniaj oczu, bo się na którym cielsku przewrócisz. Po sprawiedliwości godziłoby się i tobie łeb roztrzaskać; moich ludzi padło dziewięciu. Alem jest dobry; znaj pana: wybierz sobie jednego konia, cobyś z wygodą wracał. Przyznaj sam, dziadu, jako niesłusznie oczerniają ludzie rycerza z Foitsbergu; nie ino cię zdrowo i żywo puszczam, jeszcze z podarunkiem. Bierz konia śmieie, który ci się zda najzacniejszy, a zachowaj mnie we wdzięcznej pamięci.

Nieszczęśliwy kupiec, odarty z mienia, przerażony widokiem krwi i trupów, jeszcze musiał kłaniać się nisko zbójcy, że go puścił wolno.

*

W komnatach Heriberta z Foitsbergu wrzała uciecha. Zjechali sąsiedzi i przyjaciele. Choć żaden z nich nie dorównywał gospodarzowi w chuci zbójcekiej i okrucieństwie, już to samo, że radzi z nim przebywali, dowodziło, co byli warci: hulaszczą zgrają rozpustników, niegodna szlachetnych imion, wslawionych przez pradziadów.

Po prawicy gospodarza siedział rówieśnik jego, Ulrich ze Spitzensteinu, chciwiec, wyciskający ostatni grosz ze swych poddanych; po lewej Kuno z Rothenfelsu, co wino pił ino garncem. Dalej Götz z Braubachu, zawołany koster, Jörg ze Starkenburga, Albrecht z Giesenheimu, bracia Benno i Dietrich z Alt-Rüdesheimu i kilku innych. Naprzeciw gospodarza, na honorowym miejscu w pośrodku stołu, zasiadł wuj Heriberta, Konrad z Assmannshausen, którego poważne oblicze i długa siwa broda dziwnie odbijały od zaczerwienionych pijaństwem twarzy i szklitych oczu reszty gości.

Rycerz Konrad nie byłby przyjął zaproszenia; niecne czyny siostrzeńca, głośnie w całym kraju, przepelniały jego serce wstrętem i oburzeniem. Ale Heribert podszedł go oszukańczo, udając wyrzuty sumienia i chęć zupełnej odmiany życia. Kilkakrotnie jeździł do Assmannshausen i układnie okłamywał starca fałszywą skruchą. Miał w tem postępowaniu cel upragniony gorąco, zdobycie ręki pięknej i posażnej córki rycerza Konrada, Hildegardy. Nie zdradzał się odrazu z temi zamysłami, chcąc pierwej przejednać wuja. Znając jego namiętność myśliwską, ściągnął go do swych borów na łowy; a potem, ze względu na zapadającą noc i zmęczenie prosił pokornie, by raczył spocząć do jutrzejszego rana pod jego dachem. Uczestnicy polowania podążyli również na zamek Foitsberg, a kilku bliższych sąsiadów nadjechało niespodzianie.

Gdyby się rycerz Heribert wystrzegął kielicha, może byłby zdołał utrwalić ufność w sercu Konrada z Assmannshausen i przekonać go o swej rzekomej poprawie. Tymczasem pił bez miary i pod koniec wieczery myśli mu się płątały, zapominał, o jak ważną sprawę chodziło.

Przez otwarte okna wykuszu zaglądało do komnaty niebieskawe światło księżycy i walczyło z brudno — czerwonymi płomykami olejnych kaganków, rozwieszonych u stropu i dokoła ściany.

Rycerz Konrad powstał od stołu i skinął ręką na gospodarza. Heribert wypróżnił kielich i podskoczył uprzejmie.

— Co rozkażecie, miłościwy wuju?

— Znużonym jest srode. Radbym się już usunąć do izby, króráś mi przeznaczył.

— Dwie kazałem przysposobić, bo nie wiem, która wam się lepiej uda. Tu na dole alkierz z oknem na wirydarzyk, albo komnatka w Córuchnie na górnem piętrze, skąd szeroki widok na rzekę.

— Prowadź mnie na górę; lubię zasypiać przy szumie wody.

Wyszli do przedsionka, potem na ciasne podwórze, otoczone grubymi murami, dalej długim sklepionym korytarzem, który łączył basztę na skalistym cyplu z głównym budynkiem. Niezbyt wygodne schody wiodły na sam szczyt, a co pięterko, to jedna izba.

Heribert wprowadził starego rycerza do sześciobocznej salki o dwóch oknach, wąskich jak strzelnice, i drzwiach otwartych na kamienny ganeczek. Jakkolwiek lato było upalne, w niezamieszkałej komnacie czuć było chłód wilgotny.

— Kazałem przepalić na kominie, coby zimno z murów wygnać; zato drzwi sobie ostawcie otworem; łoże wymoszczone świeżem tegorocznem sianem, kaganek i krzesiwo na stole, pod ręką; tuszę, iż dobrze wam tu będzie — rzekł gospodarz z serdeczną troskliwością.

Wyszli na ganeczek; ostry podmuch nocnego powietrza owionął obu. Rycerz Konrad przeciągnął się, wyprostował kości i odetchnął głęboko.

— Woda wonieje, lasy wonieją, łąki wonieją, aż radość!

Heribert milczał.

Po kilkogodzinnej biesiadzie, wśród śwędu olejnych lampek, po spełnionych licznych puharach, ledwie się trzymał na nogach; tutaj, na otwartej przestrzeni, świeże powietrze spoiło go do reszty. Patrzył na gościa z bezmyślnym uśmiechem na ustach.

Wtem... zamajaczyło mu coś w głowie: wszakci to ojciec Hildegardy! Najlepsza sposobność... sami są, można się rozmówić.

Zapomniał, że dziś rano jeszcze przysięgał sobie postępować przezornie, czekać choćby miesiące.

Odchrząknął, poprawił srebrnego pasa na kaftanie, położył poufale rękę na ramieniu rycerza Konrada i rzekł, zacinając się trochę, bo mu język odmawiał posłuszeństwa:

— Wuju... coś wam rzekę...

— Pewnikiem „dobranoc”? — z łagodną ironią odparł starzec, patrząc w jego nieprzytomne oczy.

— Dobranoc potem; teraz co inszego.

— Ino krótko, bom senny.

— W to mi graj... krótko: dajcie mi Hildegardę.

— Co znowu?

— Co? Żonę mi pora brać, a wasza dziewczka jak łania... chętnie ją pojmem.

Obruszył się rycerz na takie gadanie; ale pijanemu wiele trzeba wybaczyć, odpowiedział więc spokojnie:

— Idź spać, jutro pogadamy.

— Nie chcę jutro, chcę dziś. Przyrzeknijcie mi natychmiast!

— Nic nie przyrzekam; pijanyś jest; wypisz się, odpowiedź dam jutro.

Oczy Heriberta błysnęły czerwono, jak u wilka.

— No... pókim dobry... dajesz dziewczkę, albolu nie?

— Dla zbója córki nie mam! — krzyknął Konrad, tracąc cierpliwość. — Idź spać, powiadam; sam nie wiesz, co język plecie.

To mówiąc, zwrócił się ku izbie... W tej chwili pięść twarda jak żelazo uderzyła go z całą siłą w skroń. Zachwiał się i runął na ceglana podłogę.

— Ubilem go, czy ino tak straszysz? — mruknął Heribert, napół otrzeźwiony.

Wziął kaganek ze stołu i oświetlił twarz Konrada.

— Nie rusza się... oczy zawarte...

Przyłożył ucho do piersi.

— Nie kołata nic... ucichło... Djabli go wiedzieli, że taki marny. Starego ino palcem tkniesz, juści po nim... A teraz co? Nikto nie uwierzy, że swoją śmiercią pomarł; toli skroń szcerniała już jak sadze. Dziewka gotowa do samego cesarza lecieć po sprawiedliwość... A nuż mię chwycą? I na taki trafunek trzeba liczyć; a wtedy? Miasto wesela i włości Assmannshausenów, topór i kat... Jakoś trza radzić, ale jak?...

Ścisnął głowę rękoma.

— Ot, głupi ja! Prawdziwie za wiele piłem... kłopotę się, a niema o co.

Dźwignął ciało zabitego rycerza, naładował je na swe silne bary, wyszedł na ganeczek i bez namysłu rzucił prosto do Renu.

Plusnęło coś rozgłośnie, wir pochwycił zdobyczą na wieczne nieoddanie. Rzeka nie zdradza tajemnic Foitsbergu; albo to jej pierwszozna?

Rycerz Heribert zeszedł na dół powoli i stanął w progu izby biesiadnej.

— Gdzieżeś to chodził?

— Coś robił?

— Tak długo cię nie było.

— Mniemaliśmy, że już śpisz — wołali nań pijani towarzysze.

— Nie; inom wuja do snu ułożył — odpowiedział spokojnie.

Nazajutrz rano, skoro się tylko goście rozjechali, kazał siodłać konie; wziął sześciu dworzan, wybierając na wszelki wypadek młodych i silnych.

— Pojedziemy do Assmannshausen — rzekł krótko.

— A jego miłość rycerz Konrad ostanie tu? — spytał jeden z ludzi.

— Oho, po nim już miejsce zastygło, wyruszył przed świtem.

— Pieszko? Koń w stajni...

— Sto djabłów ci do tego! — wrzasnął Heribert wściekle; ale się pohamował natychmiast i kończył spokojnie: — Przepytyujesz mnie, niczem sędzia. Córka łódź po ojca przysłała, coby się stary zbytnio nie trudził. No, nie mitrzyćć... musimy śpiesznie jechać, upał się zapowiada. W lesie spoczniemy.

Rycerz Heribert ułożył sobie plan wyprawy. Pod pozorem, że rodzic zaniemógł, miał zabrać Hildegardę do Foitsbergu. Oporu się nie spodziewał, bowiem dziewczyna kochała ojca nad życie, i na pierwsze słowo o jego chorobie nie zawaha się jechać. A gdy ją raz będzie miał w swej mocy, sprowadzi księdza z najbliższego miasteczka i zaślubi pannę, z jej wolą czy gwałtem, wszystko mu to jedno.

Jechał przodem chmurny, z zaciśniętymi zębami. Dworzanie nie śmieli doń przemówić; nawet między sobą cicho tylko szeptali, by niczem pana nie drażnić. Zнали go, że w okrucieństwie miary nie zna, gdy go złość ogarnie, gotów zabić człowieka.

Minęli najciaśniejszy kawał gościńca i zbczyli ku wiosce Erlenhain, dla skrócenia drogi. W uchylonych drzwiach nędznych chałup ukazywały się zaciekawione twarze stare i młode, i cofały się czem prędzej. Rycerz Heribert i jego drużyna byli postrachem ludności na dwadzieścia mil wkoło.

Mały oddział przejechał środkiem wsi, nie napotkawszy żywej duszy. W polu nad stawkiem bawiło się kilkoro dzieci. Słyszając tętent, porwali się malcy na równe nogi i patrzyli z niemym podziwem na rycerza w srebrnolitej jace, z białym piórem u beretu, jadącego na bogato przystrojonym wierzchowcu.

Przystanął pan z Foitsbergu i patrzył na gromadkę, ale z twarzy jego łatwo wyczytać było można, że myśli nie tkwią w oczach, tylko daleko, daleko gdzieś odbiegły.

Chcąc mu się pochlebić, giermek skoczył z koniem między dzieci, zacinając niektóre biczem. Rozpierzchły się z krzykiem na wszystkie strony; nad brzegiem wody zostało tylko jedno, najmniejsze, dziewczynka trzyletnia może.

W rączkach, przyciśniętych kurczowo do piersi, trzymała pierwsze letnie jabłuszko, białą papierówkę. Wlepiała niebieskie oczka w twarz rycerza, jak struchlałe ptaszętko w srogiego jastrzębia.

Heribert uśmiechnął się.

— Kruszyna... jak się to boi... — pomyślał — nie umie uciekać, a tamte niecnoty odbiegły ją samiutką... Cisnę jej srebrnika, niech się raduje.

Rozwinął kieskę, wiszącą u pasa, dobył z niej mały pieniądz i rzucił dziecku pod nogi. Nie zrozumiało pańskiej łaski, dostrzegło tylko machnięcie ręki i padło buzią do ziemi, bezsilne z przerażenia. Zdrętwiałe rączki puściły jabłuszko, jabłuszko stoczyło się do wody.

Powieki rycerza drgnęły... uczucie litości musnęło jego serce na jedno okamgnienie. Zeskoczył z konia, sam nie wiedział, jak się to stało. Pochylił się nad wodą mętną u brzegu, a zanurzwszy w niej rękę, przeciągał palcami w prawo i w lewo; namacał jabłko i wydobył je całe zamulone. Bez namysłu otarł je do sucha połą swej drogocennej jaki.

— Maluśka, nie strachaj się... — przykląkł na jedno kolano i dźwignął dziewczynkę pod paszki. — Nie strachaj się, nic ci złego nie zrobię... Patrz, jabłuszko z wody wydo- stałem, i grosik ładny ci podaruję; widzisz, jaki świecący? Matusia kupią ci zań koraliiki na jarmarku, albo wstążeczkę czerwoną. Nie boisz się pana, prawda?

Dziewczynka zaprzeczyła główką, podniosła znowu oczy na wspaniałego rycerza, ale już bez lęku, z ufnością... drobną rączyną objęła go za szyję i podsunęła liczko pod jego usta.

— Dziwy... dziwy... czary wierutne... — szeptali dworzanie. — Nasz pan srogi, okrutny, dziecko całuje...

Płomień wstydu oblał mu czoło. Wskoczył na koń i krzyknął ze złością:

— Precz mi z oczu! Obstąpiliście mię, niczem błazny... Precz, mówię! Jechać ku Assmannshausen... czekać na mnie u przewozu... ani kroku dalej!

Najbliższego zaciął biczem po twarzy; ruszyli z kopyta.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i przypiekało jak przed burzą. Jeździec puścił wodze koniowi, a ten szedł stępą, skubiąc listki z przydrożnych krzaków.

— Parno... — szepnął do siebie Heribert. — Do lasu jeszcze z mila, a tu łeb człeku cięży, oczy same się zawierają. Nad miarę wina piłem wczoraj... juści nad miarę... Stary głupiec byłby żył zdrowo do tej pory, gdybym był trzeźwy.

Splunął i otrząsnął się.

— Niema o czem myśleć.

Potał ręką rozpalone czoło; nowy dreszcz go przeleciał...

— W głowie się zawraca, w uszach dzwoni, w gębie jakowyś piołun... Cóż to jest? Chorość jaka? Zimnica?... A może urok?... To szczenię tam nad stawem wbiło mi się swemi modremi ślipiami aż w sam mózg... szczery ogień mam w kościach...

Zeskoczył z konia.

— Nogi się uginają... Chyba legnę pod tem drzewem i prześpię się krzynę; zelży mi.

Spętał nogi koniowi i puścił go na łąkę, a sam rzucił się na ziemię w cieniu rozłożystej dzikiej gruszy.

Przymknął oczy.

— Co się to dzieje?... Gdzie ja spadam?... Kędy lecę?... Ratunku!... Na pomoc!... Djabli mię otaczają... Czy to śmierć?... Ach ten tłum... To zgrzytanie... to wycie piekielne!... Puszczajcie!... Wara ode mnie!... Tolim jest ochrzcony wodą święconą!... Precz! W imię Oj...

Z nieprzeliczonego zastępu złych duchów wystąpił olbrzymi, ognistooki szatan i ciężką jak ołów rękę położył mu na ramieniu.

— Chcesz się przeżegnać? Spróbuj, czy zdołasz. Zali od lat dwudziestu choć jeden raz, jeden jedyny, uczyniłeś znak krzyża? Za życia była pora na żal, na skruchę, po śmierci ino kara.

— Milcz! Bóg jest miłosierny!...

— O tak! — odparł djabeł, zaciskając z wściekłością szpony. — Miłosierny ponad wszelkie rozumienie. Aleś ty wyczerpał to miłosierdzie Boże do dna. Dusza twa należy do nas.

— Należy do nas! — zawyło echem ze wszech stron.

— Nie, nie... bez sądu nawet ludzie nie oddają zbrodniarza katom. Domagam się sądu!

Zgraja szatanów zaryhotała przeciągłym, ohydnyim śmiechem.

— Sądu chce! Cha, cha, cha, cha, cha!...

— Zgoda — odezwał się ten sam, ognistooki. — Miałem cię wziąć wedle własnego obrachowania, do trzeciego piekła; gdy zasię On, któremu zlorzeczę od początku wieków... Pan nieba i piekiel zliczy twe zbrodnie i zważy na swej przespawiedliwej szali,

pójdiesz w głębie niezmierzone, do siódmej płomiennej otchłani, kędy król nasz Lucyfer w nigdy niegasnącym ogniu przemieszkuje.

— Wołam sądu!

— Więc pójdź!

Rój potępieńców załopotał skrzydłami i zniknął w ciemnościach.

Ognistooki porwał duszę rycerza i pędem iskry piorunowej przeleciał przestrzeń tysiąca tysięcy światów. Nagle zatrzymał się, padł na kolana i oczy oburącz zasłonił.

Heribert uczynił to samo.

Od Źródła światłości, od Majestatu bożego dał się słyszeć głos:

— Przybliż się, szatanie, i wymień grzechy zmarłego sprawiedliwie, nic nie ujmując nic nie przydając.

Porwał się olbrzym z klęczek i wyprostował hardo. Lecz nie w stanie był znieść blasku Oblicza Pańskiego. Tedy padł znowu na kolana i przyslanając oczy skrzydłami, mówił:

— Opijał się do utraty rozumu...

— Gnębił i dręczył poddanych...

— Mordował ludzi nie w obronie własnego życia, ale dla łupiestwa, z chciwości...

— Rabował kościoły... Bezczęścił święte naczynia...

— Nie Twoje imię, Panie, ze czcią wymawiał, ale mnie i tysiące braci moich wzywał co godzina...

A gdy szatan mówił, każde jego słowo zmieniało się w kamień i padało na spizową wagę sprawiedliwości boskiej. Szala grzechów osunęła się nisko, szala cnoty uniosła się w górę — próżna.

— Straconym jest... — jęknął Heribert — jakoż będę Boga błagał o zmiłowanie, gdy pojrzeć nań nie śmiem... Ach, kto się za mną ujmie, nieszczęsnym zbrodniarzem...

Ze mgły wspomnień dziecięcych... płynął powietrzem dźwięk znajomy; cichy jak szelst opadającego liścia... To matka mówiła litanię...

Martwiącymi najwyższą trwogą usty wyszeptał:

— *Ucieczko grzesznych*, módl się za nami!

I znowu usłyszał ten sam głos wszechmocny:

— Witaj, córko umiłowana! Z czym przychodzisz? Czy i dziś, czy nawet za tym storkoć potępionym chcesz się wstawiać? Co masz na jego uniewinnienie?

Słodczy słodczy, głos *Królowej aniołów* odpowiedział:

— Jeden czyn miłości bliźniego. Użalił się smutku małej dzieciny, posłużył jej, pocieszył ją i ucałował.

Heribert odważył się spojrzeć.

Panna można stała przy wadze i na szalę zasług położyła... jabłuszko.

Powoli, bardzo powoli zaczęła się szala obniżać... lecz grzechy ciążyły więcej...

— Matko, ratuj! — krzyknął Heribert głosem tak rozdierającym, że serce najmiłosierniejsze wezbrało litością... Z oczu Marii padła na szalę jedna łza...

Głos Wszechmocny przemówił po raz trzeci:

— Dla ciebie, córko, dla drogocennego okupu, jaki złożyłaś, nie wydamę wyroku potępienia na zmarłego grzesznika. Ze skarbnicy wieczności udzielam mu lat trzydzieści, jako czas przebłagania pokutą srogiego gniewu mojego. Niech dusza powraca do ciała!

Klasztor benedyktyńców w Trewirze obchodził stulecie swego założenia. Ze względu na tę wielką uroczystość Ojciec święty nadał liczne odpusty uczestnikom jubileuszu; niemal wszystkie zakony tej reguły przysłały swoich przedstawicieli. Jak Trewir Trewirem nie pamiętali ludzie tak wspaniałego święta; a święto trwało dni trzydzieści trzy, ku uczczeniu lat Pana Chrystusowych i świętej szaty Zbawiciela, przechowywanej w skarbcu klasztornym.

Napływ pobożnych był niesłychany; pomieścić się nie mogli w zajazdach i prywatnych domach, aż namioty porozbijano pod miastem i tam pątników umieszczano.

Od brzasku zorzy do ciemnej nocy stał kościół otworem, a tłumy nieprzeliczone płynęły doń rzeką. Braciszki strzegły porządku: głównymi drzwiami, naprzeciw wielkiego ołtarza, wpuszczano pobożnych, wyjścia były w bocznych nawach na prawo i na lewo, przez krąganki. Przy wszystkich ołtarzach jarzyły się setki świec, przy wszystkich

ołtarzach odbywało się nabożeństwo od świtu do południa; zaczem nieszpór i wieczorne modły. U czterdziestu konfesjonałów klęczeli długim sznurem penitenci, czekający swej kolei; omdlewających ze znużenia spowiedników zastępowali inni, a trzy razy dziennie zasiadał sam opat na podwyższeniu, gdzie skrzyżowane dwa pastorały i tiara papieska były znakiem władzy, udzielonej od Ojca świętego, ku odpuszczaniu najcięższych nieprawości.

Piątek był. Wśród obrzędów i nieustających adoracyj dzień ten odznaczony został najwyższym przywilejem, bo co piątek czasu jubileuszu ustawiano w pośrodku presbiterium, na kilkostopniowym wzniesieniu pod baldachimem srebrną skrzynię z wyłączeniem wnętrzem, zawierającą cudowną relikwię — suknię Chrystusa Pana.

Ludzie czołgali się na kolanach ku tej szacie błogosławionej, co utkana Matki Najświętszej rękoma, odziewała niegdyś ciało Boga-Człowieka.

Pielgrzymi posuwali się jeden za drugim, modląc się całą gorliwością ducha i płacząc głośno na samą myśl o najdroższej pamiętce.

W ciemnej, grubej opończy, z kapturem, opadającym na oczy, z pochyloną na piersi głową klęczał u filara prawej nawy człek jakiś. Braciszkuwie, pełniący służbę, widzieli go podczas prymarji, widzieli go podczas wotywy, całą sumę krzyżem przeleżał, poszturchiwany przez tłoczące się tłumy. Wreszcie wsunął się w łańcuch wiernych, podążających ku relikwji, i dotarł do presbiterium. Tu, zamiast się zbliżyć za innymi i ucałować brzeg świętej skrzyni, jęknął tylko żalosnem łkaniem, zarzucił sznur konopny na szyję i czołgał się prosto do konfesjonału opata, o skrzyżowanych pastorałach.

— Zbrodzień bezecny... — poszedł pomruk między ludźmi — nie waży się pojrzeć na Zbawicielową sukienkę...

— Potwora... niechby go precz wygnali!

Jeden tylko pokutnik odprawiał spowiedź przed opatem i właśnie odchodził rozgrzeszony.

Pielgrzym ukląkł przy kracie, bijąc się w piersi...

Nazajutrz z rozkazu opata przyjęto go na próbę, i rozpoczął żywot zakonny. Przyprowadzony przez ojca Bonifacego, opiekuna i nauczyciela nowicjuszków, przykląkł na jedno kolano, jak widział, że inni czynili, i pocałował go w rękę.

— Skąd rodem, synu?

— Ave Maria.

— Piękniec to i chwalebnie, że od uczczenia Najświętszej Panny mowę poczynasz — przychwalił ojciec Bonifacy — ale teraz odpowiedz pytanie: ktoś jest, jak się zowiesz i skąd przybywasz?

— Ave Maria.

— Zali cudzoziemcem jesteś? Nie rozumiesz, co mówię?

— Ave Maria.

Ojciec Bonifacy machnął niecierpliwie ręką i pobiegł drobnym kroczeniem, suwając nogami, prosto do celi opata.

Wszedł bez pukania, co miał raz na zawsze pozwolone.

— Wasza przewielebność raczy mię objaśnić, jakiego narodu synem jest ów człek nieznany, tak nad miarę łącno, bez niczyich poleceń, ani dokumentów przyjęty przez Was do klasztoru.

— Owszem, polecenia ma od najpotężniejszych protektorów — odpowiedział opat stanowczym tonem.

— Jego wysokość hrabia Renu? — szeptem zapytał zakonnik.

— Za mało...

— Jakto? Cesarz? Sam pan najmiłościwszy?

— Najmiłosierniejsza Pani...

— Zapewne z listem odręcznym?

— Ani jednym słowem więcej nie wolno mi was powiadomić.

— A to czemu? Czyżem niegodzien zaufania?

— Tajemnica spowiedzi...

— Masz tobie! Wasza przewielebność nie może mówić, ów zasię nie chce. Na każde pytanie jedno tylko powtarza.

— O cóż wam tedy chodzi? Mniemałem, że wcale nie mówi.

— Ciekaw jestem, czyby waszej przewielebności było dość, gdybym na wszelkie zagadnienie odpowiadał: „Ave Maria”?

— Zapewniam was, że każdy rozkaz spełni posłusznie i z pokorą; nigdy się nie sprzeciwi. A że prócz imienia Marji nic od niego nie posłyszycie, temci lepiej; zato inni braciszkuwie zda mi się zbyt językiem pracują.

Odszedł staruszek naburmuszony i zawział się w duchu, że przecie wynajdzie sposób na upartego niemowę. Wydawał mu rozkazy, a gdy praca, którą mu przeznaczył, była w połowie spełnioną, odwoływał swe polecenie i gniewał się, że go braciszek źle zrozumiał. Ten pochylał głowę pokornie i przyjmował w milczeniu niezasłużoną naganę. To znów zadana mu robota w ogrodzie lub w polu była wyraźnie przeciwna zdrowemu rozsądkowi; wykonywał ją najsumiennie, a inni bracia szydzili zeń i przezywali głośno półgłówkiem.

W pierwszych tygodniach, nawet i przez pierwsze miesiące nowicjatu, burzyła się w nim krew zuchwała. Prostował się dumnie, usta, co tak niedawno jeszcze sypały rozkazy, na których skrzywienie korzyła się służba, zamierali strachem poddani, usta te drżały gniewnie; w oczach zapalały się czerwone iskry; już, już zdawało się, że krzyknie głosem wielkim i zapłaci za drwiny i grube żarty uderzeniem twardej pięści... Lecz te chwile buntu trwały krótko. Spuszczał na piersi hardą głowę i odchodził cicho do swej roboty. Ile go kosztowało każde takie duchowe zwycięstwo, wiedziała tylko Pani najlitościwsza, której imię jako wieczną pieczęć na swe usta położył.

Mijały dni spokojnie w pracy i modlitwie. Z biegiem czasu przestano się zajmować *Bezimiennym*; nikt na niego nie zważał, przyzwyczaili się bracia do niemowy. Z opatem wiązała go ściślej tajemnica, u niego się też zawsze spowiadał.

W drugim roku po przyjęciu pielgrzyma do klasztoru umarł stary ojciec Bonifacy. Bogobojnych starszych zakonników przenoszono jako przełożonych do nowych klasztorów, na ich miejsce przybywali inni. Nowy opat objął przełożenie po śmierci dawnego. Po latach dwudziestu z dawnej braci pozostało tylko dwóch czy trzech zgrzybiałych starców i *Bezimienny*, którego historii nikt nie znał i nikt o nią nie pytał. Raczej legenda z podejrzeń i zmyślenia zmieszana, którą staruszkowie w dobrej wierze młodszym opowiadali, przywarła do murów klasztornych... Zbrodzień zakamieniały, wyrokiem sądu skazany na dożywotnie więzienie, a łaską cesarską osadzony w murach klasztornych...

Brat *Bezimienny* pełnił najniższe posługi, młodzi i starzy nim się wyręczali, a każdy patrzył nań ze wstrętem... *Zbrodzień zakamieniały!* Że też to śmie ubliżać Matce Bożej, powtarzając po stokroć dziennie Jej imię!

*

Upłynęło lat trzydzieści.

Do celi opata zapukał ojciec Remigjusz.

— Wejść proszę! — odpowiedziano z wnętrza.

— Przychodzę po rozkazy waszej przewielebności.

— W jakim względzie?

— Ten człek niespełna rozumu, co tu osadzon był za karę przed niepamiętnymi laty, umarł dziś w nocy.

— Umarł? Nagle? Bez sakramentów?

— Owszem; długo i ciężko chorował; zda się jakieś przeziębienie, a może co inszego, niewiadomo. Nie skarżył się, ojca medyka nie wzywał; ino się spraszał na migi, że siły nie ma do roboty, więc go ojciec Hilary zwolnił.

— Jakto na migi?

— Zda mi się, wspomniałem raz waszej przewielebności, że człek ów, obłąkany zapewne, nijak nie umiał się z braćmi porozumiewać; ino dwa słowa całe wyraźnie wymawiał.

— Prawda, prawda, przypominam sobie; Ave Maria; czy tak?

— Właśnie. Otóż wczoraj, gdy mu przyniesiono jadło, dał znak, że spowiednika żąda. Niech wasza przewielebność raczy być spokojnym, Ojciec Bernard zaopatrzył go sakramentami. Głównie teraz chodzi o to, co uczynić z ciałem? Toć grzesznika, wyrzuconego

ze społeczności ludzkiej, którego ino z chrześcijańskiej pokory cierpielismy wśród siebie, niepodobna chować w podziemiach kościelnych, gdzie tylu najdosjniejszych ojców spoczywa, a nawet trzech biskupów...

— Słusznie, słusznie; wszak powiadają ludzie, że to był przestępca wielki, zbrodziej bezecny... Niech mu Bóg w swem miłosierdziu przebaczy! Krótkie modlitwy odmówić i pogrzebać w ogrodzie.

— Wola wasza jest świętą, ale...

— Tam daleko, daleko, pod samym murem. Nikomu nie będzie wadził.

I pochowano *Bezimiennego* pod murem.

A gdy wiosenne słońce ogrzało ziemię, gdy pierwsze zielone ździebelka przebiły warstwę szerniałej od mrozu trawy, biegł z krzykiem brat ogrodnik do celi ojca Bernarda. Widno osobliwą była nowina, którą mu zwiastował, bo siwy mnich porwał się od księgi niczem młodzieniaszek i kazał przywołać ojców Remigjusza, Justyna i Hilarego. Wszyscy razem udali się do izby opata. Niepomni przepisów ceremoniału w obcowaniu z jego dostojną osobą, wkroczyli śpieszno, bez pytania.

— Co jest? Zasnął kto? Ogień w klasztorze? Złoczyńcy kościół okradli? — pytał opat zdumiony.

— Rzeczy stokrój ważniejsze, przewielebny ojcie — rzekł Bernard. — Świętego mieliśmy pomiędzy sobą, a Bóg dopuścił, że pychą zaślepieni, nie poznaliśmy go.

— Niezrozumiała twoja mowa, bracie. Gdzież ów święty?

— Pójdźcie, przewielebny ojcie, oglądać cud boży.

Na samym krańcu ogrodu, gdzie ino chwasty a pod murem śmiećisko było klasztorne, do wczoraj jeszcze szarzała naga mogiła *Bezimiennego*. Dziś okryły ją gęstym gajem lilje dorodne. Na zielonych bujnych łodygach rozchylały swe przezyste kielichy kwiaty nieznaney oku białości... W powietrzu unosiła się woń z niczem nieporównana.

W niemym zachwycie pochylili głowy, by się przyjrzeć cudnemu kwieciciu. Na każdym białym listeczku migał cień złoty...

Brat Justyn przeczytał:

— Ave Maria.

Padli na kolana u stóp mogiły i uderzyli czołem o ziemię.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisałismy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ave-maria/>

Tekst opracowany na podstawie: Antonina Domańska, *Ave Maria*, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań-Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Korektę utworu ze źródłem wykonali wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Dąbrowska, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-0196-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.